



<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p style="text-align: center;">Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii</p> <p>Miniatury, „Życie Literackie”, 17 kwietnia 1983 r., nr 16(1621), s. 8, 9.</p>		
<p>Ilość stron oryginału</p> <p style="text-align: center;">2</p>	<p>Ilość skanów</p> <p style="text-align: center;">2</p>	<p>Liczba plików publikacji</p> <p style="text-align: center;">7</p>
<p>Autor</p> <p style="text-align: center;">Jan Szczepański</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny</p> <p style="text-align: center;">Robotnicza Spółdzielnia</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania</p> <p style="text-align: center;">Warszawa</p>	<p>Rok wydania / Data powstania</p> <p style="text-align: center;">1983</p>	
<p>Sygnatura</p> <p style="text-align: center;">---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.)</p> <p>artykuł</p>	
<p>Wymiary (wys x szer)</p> <p>19,7 x 11,2 cm, 8,4 x 19 cm</p>	<p>Stan zachowania</p> <p style="text-align: center;">---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p> <p>Odpowiedź Jana Szczepańskiego na pytanie zadane w ankiecie „Polityki” z okazji 100 rocznicy zgonu Karola Marksa: Którą z wypowiedzi Karola Marksa – z jego myśli, nauk, maksym – uważa Pan za szczególnie aktualną dzisiaj, dla Polski roku 1983?</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>XIX wiek, XX wiek, Polska Rzeczpospolita Ludowa, Jan Szczepański, Karol Marks,</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>sociologia, socjalizm, marksizm, kapitalizm, polityka, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”, stan wojenny, społeczeństwo, gospodarka, problemy gospodarcze, przemysł, rolnictwo, robotnicy, klasa robotnicza, Tygodnik „Polityka”,</p>		
<p>Prawa autorskie</p> <p>---</p>		

PRANIE

Pranie — to była czynność prania bielizny, a nazwa „prodo” oznaczała wszystkie pranie sztuks. Lecz przede wszystkim pranie było podniosłym obrzędem wykonywanym zgodnie z tradycją, dokładnie, pilnie, prawie z nabożeństwem. Czystość ciała, bielizny, pościeli, podłóg w domu, czystość wybielonych ścian — wszystko to razem było jakby symbolem i wskaźnikiem czystości duszy. Czystość noszonych rzeczy była także miarą wartości człowieka. „Sąd powaga przywiązywana do czystości prania.”

Zaczynało się to od zamoczenia brudnej bielizny, starannie segregowanej w zależności od kolorów, bo kolor „puszczał w praniu” i farbowały inne sztuks. „Namoczenie” zaczynało się wieczorem, i było także „wyczyszczaniem grzechów”, bowiem grzechy zapisywały się dość dokładnie plamami, podarciami, urywanymi guzikami, i wszystkie zaniedbana taty i nas, dzieci, mama komentowała przegladając brudną bieliznę. Tata zapomniał zakasować rękawy koszuli do roboty, nie mył dokładnie rąk mydłem, tylko brud zmoconych rąk wycierał w ręcznik — te zarzuty powtarzały się stale. Nie pamiętam, kiedy zjawiały się pierwsze proszki do prania, ale pamiętam dobrze mydło do prania Schicht z jeleniem, które domokrączy przyniosli w długich kawałkach. Nie pamiętam też już dobrze kolejności czynności — czy pranie najpierw gotowało się w dużym blaszanym garncu, potem wylewało do „troków”, coś w rodzaju drewnianej wanny, czy też najpierw w trokach każdą sztukę wy-moczoną w gorącej wodzie tarło się w mydłem na tarce. To była ta najistotniejsza część prania — tutaj mama a potem siostry „urabiały ręce”, trąc te brudne rękawy koszul, przepoczone grzbiety koszul, zaczerwienione ręczniki, duże prześcieradła i poszwy pierzyn. Wyczyszczone na tarce pranie trzeba było wypłukać w bieżącej wodzie potoku. Nosila więc mama a potem siostry „Putnie” pełne mokrego i zamydzonego prania stromym chodnikiem do potoku i tam pod małym wodospadem w „płosku” płukaly sztuks po sztuce, nieraz w zimnej wodzie wiosennej, nieraz w siąpiącym, deszczu, „wykręcały” mocno, by możliwe najmniej wody dźwigać z powrotem na wysoki brzeg jaru, a i tak zostawały tam skrzywione wysiłkiem kości. W słoneczne dni wypłukaną bieliznę niosiono na miedze i tam rozkładano na czystej trawie koło wiatraku, gdzie nie pasano krow, by zachować czystość powierzchni do bielienia. Rozłożone w słońcu prześcieradła polewano czystą wodą ze studni, kilka razy w ciągu dnia, by słońce nadało im biel nieskalaną. Dopiero potem wieszano na sznur między jabloniami i śliwami do schnięcia. Potem białe, czyste, przesycone słońcem i wiatrem pranie znoszono do domu. Na szerokiej ławie w kuchni rozciągano poskładaną „hacke” czyli wielką, grubą chustę, którą kobiety nosiły w chłody, każdy kawałek prania nawinięty na drewniany walek maglowano ogromnym piaskim kamieniem stojącym zawsze w kącie sieni. Epopeję kończyło prasowanie żelazkiem, w które wkładano „dusze” czyszczoną rozgrzaną w palenisku kuch-

Pranie robiono więc wtedy, gdy nie było pilnych prac w polu, gdy był czas potrzebny do wielkiego przedsięwzięcia. Cała rodzina w wielkim wysiłku prac wiosennych paprała się w mokrej ziemi i gnoju, czy w upale lata przepalała potem odzienie i było rzeczą kobiet zmyć z niej brud i pot, przywrócić czystość i lekkość, przysuszyć koszule i spodnie świeżością prądu potokowego, jasnością słońca i rzeźwością górskiego wiatru. Zostawały w tej doskonalej czystości swoje zdrowie, równoładny staw i krzywiły kregosłup. Patrząc teraz z tej wielkiej perspektywy minionych dziesięcioleci zdę nie ma już troków, zberków i putni do wody, gdy detergenty zastąpiły bielienie w słońcu i wietrze, a pralki szorowanie na tarkach, gdy automatyczna pralka wymaga tylko nastawienia programu, widzę, że zmieniła się przede wszystkim filozofia życia. Pranie było elementem życia, w którym robota stanowiła jego sens. Robota, jak modlitwa, musiała być wykonana „choćby kije z nieba leciały”. Robota to był trud i brud, pot i kurz, błoto i gnoj. To wszystko człowiek robotny brał na siebie i z tego wydobywał chleb. Pranie dawało mu czystą-koszulę, czyste odzienie, by w dzień spożyciu, idąc do kościoła, był godny pochwalić Pana, że dał mu robotę i siłę do jej wykonania. Był czysty i obmyty. To sprawiły gaźniczki, które w niedziele wkładaly „suknie” czyli sukienne, fałdowane spodnie obramowane błękitną lemką z pięknym atłasowym i kolorowo wyszywaniem „żywkotkiem”, białym „kakatkiem”, czepek z koronkami, „kwosek” i „szatke” na głowę i szły dostojnie, z „kancynolem” w ręku do kościoła. obok gazdy ubranego „po czornu” ze śnieżnobiałą koszulą. By dokończyć prania — duszy.

3 II 1983

SZKOŁA

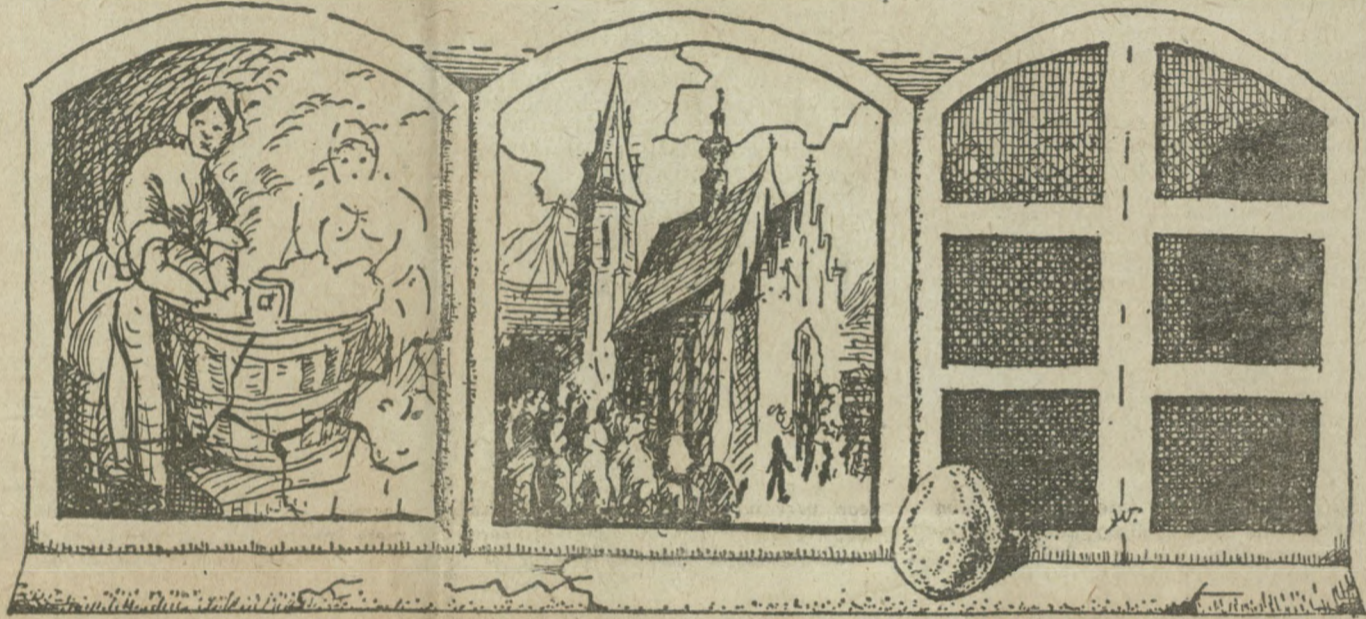
Czym była szkoła dla chłopskiego dziecka, które w wieku lat 6 musiało do niej pójść? Na pewno nie należała do zwykłego chłopskiego życia. Była położona w „gmi-

nie” tzn. w centrum wsi i stała koło kościoła, była ogromnym piętrowym gmachem, miała duże okna a więc zupełnie niepodobna do ludzkiego mieszkania. Budynki służyły komuś na mieszkanie — w chałupach ludzie, w oborach krowy, pies miał swoją budę. Kościół był budynkiem największym i najwspanialszym bo w nim mieszkał „Pónbóczek” czyli Panbóg. W szkole mieszkał nauczyciel Matula, pełniący także obowiązki organisty, ale jego mieszkanie, położone na parterze nie należało do szkoły. Szkoła to były klasy, w których dokonywało się również coś zupełnie niepodobnego do normalnego życia, uczono pisanie, czytania i rachowania.

Wyobrażenia o szkole były niejasne. Z opowiadań ojca i siostr starszych szkoła wylaniała się przede wszystkim jako miejsce, gdzie panował „mores” wspomagany biciem. Było wiadomo, że nauczyciele biją trzciną po łapach, albo po tyłku, czasem linijką. A równocześnie szkoła była także blisko kościoła i miała coś równie przejmującego jak kościół, do którego chodziliśmy znacznie wcześniej niż do szkoły. Chodzenie do kościoła kojarzyło się przede wszystkim z butami. Do kościoła chodzilo się w butach, widocznie „Pónbóczek” nie lubił dzieci chodzących boso lub w kyrpcach. A buty zawsze albo obcierały piętą, albo ugniatały, a w zimie nogi w nich straszliwie marzły. Natomiast do szkoły, na szczęście, chodzilo się od wiosny do jesieni boso, a w zimie w kyrpcach.

JAN SZCZEPANSKI

MINIATURY



Rys. MAREK SOŁTYSIK

W szkole w korytarzu wisiał napisany ozdobnie wiersz: Z myślą o tym, że tu szkoła Wstępując jakby do kościoła. Skromnością i statkiem uszanuj te mury. Bo Bóg wszechmogący patrzy na cię z góry. Mija już 64 rok od 1919, a wierszyk ciągle tkwi w pamięci. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że jestem tym znanym rocznikiem, który po sześciu wiekach poszedł do szkoły polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Moje siostry przed kilku laty wcześniej poszły jeszcze do szkoły cesarsko-królewskiej i uczyły się śpiewać „Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza...” Czyli w 1919 zakończył się okres rozpoczęty w 1327, w którym książę Kazimierz cieszyński złożył hold czeskiemu królowi Janowi Luksemburczykowi. Oczywiście o tym nie wiedziałem, gdyż miałem znacznie ważniejsze sprawy na głowie.

Wyposażenie ucznia pierwszej klasy było proste. Tabliczka „kamienna” obramowana drewnianą ramką, w ramce otworek na sznurek, a w sznurku mała gąbka. Rysik do pisania na tabliczce i elementarz. To wszystko. Na tabliczce trzeba uważać, bo mogła się rozbić. Drugą poważną sprawą było dojdzie do szkoły i powrót z niej. Dojdzie było proste, szło się razem ze starszymi siostrami, ale powrót o innej godzinie był samodzielnie rozwiązywanym problemem — albo koło gospody Prażaka i drogą do mostu na młynce, albo koło gospody Staszka, stawu — nie widzianego, gdyż położony był wyżej od drogi za wysokim walek i przez dwa mosty nad spustem na młynce a potem na ten sam chodnik przez kamieniec, koło Legiarskiego do ławy nad Wisłą, wywozem do Brzeziny i tu już był widoczny dom.

Szkoła to byli nauczyciele. Naszym nauczycielem był Paweł Lipowczan, który na wojnie stracił jedno oko. Postrachem wszystkich był Matula mieszkający w budynku szkolnym i pilnujący porządku, nad wszystkim unosił się dobroliwy dyrektor Michejda. Prestiż nauczyciela był ogromny, tuż koło księdza, gdyż nauczyciel także miał coś wspólnego z siłami nieziemskimi. „Rechtór”, chociaż powinowaty jak Lipowczan, był jednak z innego wymiaru. On nie „robił” w polu i koło bydła. On miał do czynienia z książkami, a w życiu luterskich rodzin księgi były symbolem wartości najwyższych.

Przed szkołą mały ogródek z kwiatami i jarzynami rektora Matuli, i

duży piasek a po jego drugiej stronie stał kościół. Tu w przerwach biegaly dzieci — w środku placu stały drzewa, krzaki na trawniku. Pod tymi drzewami „na Jakuba” stała kaczalica i stąd ksiądz wygłaszał kazanie do tłumy wiernych na placu kościelnym. Niby nie wolno było biegać po tej trawie. Tu w zimie odbywały się wielkie bitwy kulami śnieżnymi. W lecie, plac poza „trawnikami” pokryty był szutrem, pełno drobnych kamieni i stąd sport ulubiony ale zakazany — kto przerzuci dach kościelny kamieniem. Zakazany, bo kamienie tłukły dachówki kościelne. Plac otoczony był plotami a pod plotami stały ławy, proste, po prostu pnie smreków przecięte w pół. Siadaliśmy na tych ławach, a w drugiej przerwie południowej między 12 i 13 gryaliśmy namiętnie w noże. Rzecz polegała na rzucaniu i wbijaniu zgietego lub wyprostowanego szczyrorka, po dziesięć rzutów — gra oczywiście miała swój regulamin. „Kościelny” tepił tę gre podobnie jak rzucanie kamieni ponad dachem — skracala żywot ław należących nie do szkoły, ale do kościoła. Szkoła była wyznaniowa — ewangelicka. Dzieci rodzin katolickich miały swoją szkołę. W naszym pojęciu, oczywiście gorszą.

Mgliste wspomnienia mówią mi, że nauka poznawania liter i sylabizowania początkowo szła mi kiepsko, aż wreszcie przyszedł — to pamiętam już dobrze — nagły moment ośnienia, kiedy czytanie jakby się objawilo w

nymi rzeczami gospodarskimi. W piwnicy przechowywano kartofle dla ludzi oraz beczkę z kiszoną kapustą. Kartofle dla zwierząt trzymano w drugiej piwnicy pod kuchnią, do której wejście było z komórką, dobudowanej z drugiej strony domu. W tej komóreczce stały też żarna, narzędzia do prac w polu. Tam również zrzucano rzeczy nieużyteczne.

W kuchni zaraz za drzwiami po prawej ręce było okno na stronę, gdzie stała obora i chlewiki, a po lewej ręce wchodzącego stał piec kuchenny z błękitnych kafli, zbudowany przez ojca chyba na początku lat 20., z którego ojciec był bardzo dumny. Pod tym piecem duży, „piekarszczyk” do pieczenia chleba, zabierający sporo miejsca także w sąsiednim pokoju. W kuchni stał stół, ławy z szerokokich desek, koło pieca kuchennego wezła ława do stawiania garnków, w których gotowano paszę dla krow i świń, strawę dla nas. Koło stołu w grubej ścianie głęboka wnęka, w niej półki z bardzo grubych dębowych desek, na nich naczytnia. Półkę zasłaniała wyszywana „deczka”.

Gdy zamknę oczy widzę dokładnie ten dom z wczesnego dzieciństwa, przebudowany najpierw przez ojca przy gorącym sprzeciwie jego rodziców, a potem przez siostrę, przy równie gorącym sprzeciwie starego już ojca. Widzę kuchnię w wieczory zimowe, gdy na stole stoi odwrócony dnem do góry duży garnek a na nim stała naftowa lampa, która w dzień

świetłem Ujec w jejciu moim objawiał się powoli — napierw jabikami, które przynosił dzieciom w kieszonkach „gunioka”. Lubiliśmy choćby „na Goje”, bo ciocka częstowała nas herbata z sokiem malinowym i często kruchymi ciastkami „zoworowymi”. To było wczesne dzieciństwo, ale gdy się nauczyłem czytać, ujec objawiał się tym, czym był naprawdę — właścicielem biblioteki, bibliofilem, pisarzem, szperaczem i badaczem, prawdziwym człowiekiem książki. W domu pachnącym jabikami był pokój z szafami pełnymi książek. Tutaj poznałem ten świat realny, niewidzialny, wczarowany w litery druku, pokazujący rzeczy i zdarzenia wspaniałe, dziejące się tam, za skłonem nieba, pokazujący ludzi prawdziwych i zmyślonych, jednakowo godnych podziwu i naśladowania.

Ujec był niedużego wzrostu, miał gęstą czuprynę jasnych włosów, krzaczaste brwi nad łagodnymi, szarymi oczami. Przychodził do nas na Zawodzie w burzliwym okresie końca wojny światowej, gdy działacze polscy rozbrajali wojsko austriackie, wywieźli polskie sztandary, organizowali Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego, gdy ojciec wrócił z wojny, gdy wszystko się zawałilo, wszystko co wzięt i zarekwirował Najjaśniejszy Pan przepadło, a została zwyczajna bieda — Wantula przychodził na dyskusje o polityce, agitował za Polską, przeciw Czechom, przeciw „Ślązakowcom”, którzy domagali się samodzielnosci Śląska i twierdzili, że Ślązacy nie są ani Polakami, ani Czechami, ani Niemcami tylko samoistną naro-

Profesor Jan Szczepański — wybitny socjolog, członek rzeczywisty PAN, przewodniczący Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL — powraca w „Miniaturach” do własnych lat dziecięcych, kreśląc obraz pełen nostalgii i sympatii.

dowością. Pamiętam jak ostre były te dyskusje, jak zażarte i odpowiadały tylko wielkiej bezradności i zagubieniu tych ludzi którym cesarstwo mające stać wiecznie rozpadło się w rękach. Gdzieś daleko były pobite Niemcy, gdzieś daleko Polska wojowała z bolszewikami a w 19. roku wojska czeskie wpadły na Śląsk Cieszyński, może powołując się na hold Kazimierza cieszyńskiego z 1327 roku. Doszli do Ustronia i jakiś czas Wisła była granicą, i gdy chodziliśmy po coś do „gminy”, trzeba było mieć przepustkę. Wantula bolał nad tym bardzo i ja potem cieszyłem się razem z nim, gdy generał Latinik na czele kilku batalionów i gromady chłopów z „krykami” pobił Czechów pod Skoczowem i przepędził za Olze.

Tak więc ujec wprowadzał mnie także w skomplikowane sprawy polityki i on był przewodnikiem do polskości. Stare Postyle przemawiały językiem Reja, książki od uca mówiły współczesną polszczyzną. Ujec znał osobicie Prusa, Struga, Ochorowicza, Orkana, znał wielu działaczy, dziennikarzy z Krakowa i Lwowa, z jego opowiadań wylaniała się Polska złożona z ludzi wielkich umysłów, i wielkich serc. Od niego otrzymywałem powieści historyczne, popularne książki o wojnach napoleońskich, o powstaniach, i o dawnych polskich królach. Trudno mi teraz przypominać uca z lat 1918—20, gdyż przesłania mi go obraz z tych lat, gdy byłem już na studiach i gdy odwiedzałem go już jako rektor uniwersytetu. Dla uca jednak rektorstwo to było czcigodny, brodac stary profesorowie, a mój młody wiek, moja sportowa koszula, sandały i rower nie pasowały do tego dostojństwa — a wtedy nasza przyjaźń miała już inny wyraz.

Ujec zbudował nowy dom murowany, w którym urządził sobie swój pokój na książki. Pamiętam jednak ten pierwszy domek, do którego jako małe dzieci chadzaliśmy „na szkabaczki”, „na podgarline” czyli zabijaczkę, przy różnych innych okazjach. Droga „na Goje” była długa, trzeba było przejść przez „gmine” a potem drogą koło krzyża, gdzie „straszyno” i dla nas dzieci to przejście łączyło się zawsze z łękiem.

Przez wiele lat ujec pracował w hucie w Trzyńcu i do roboty chodził codziennie wiele kilometrów — wychodził z domu bardzo wcześnie i wracał późno — wtedy praca w hucie była laską i nikt pracowników nie dowolił. Miał więc ujec dobrą znajomość życia chłopskiego, życia robotniczego, znał dobrze środowiska intelektualne idealizowane z uwielbieniem, znał dzieje Śląska — pisał więc o sprawach ludu robotczego i góralskiego, o wyszuku i krzywdzie, o dziejach reformacji i przetrwaniu ewangelików, odkrył i opisał Jure Gajdzice z Cisowicy, który w ostatnich dziesięcioleciach XVIII w. zebrał własną bibliotekę, sporządzał sobie własny ekslibris i napisał pamiętnik, w którym opisał rozbiory Polski i wojny napoleońskie — jak na chłop-furmana wyczyn niebawiały. Napisał oczywiście po polsku, na tym Śląsku oddzielnym od Polski od XIV wieku. Ujec należał więc do dziennej formacji społecznej będąc chłopem-robotnikiem-inteligentem równocześnie. A w każdej dziedzinie działalności wspierała go siła i doświadczenie, wiedza i aspiracje pozostałych dwóch. Dlatego chyba ten genialnie zdolny syn chłopski, który do szkoły w Ustroniu uczeszał przez dwie czy trzy tygodnie, samouctwem zdobył ogromną wiedzę, opanowując sztukę badania naukowego i pisanie. Przeżył wieczną Austrię, doczekał

swej kunsztownej prostocie. Od drugiej klasy już zacząłem czytywać namiętnie książki. Wtedy zacząłem wchodzić do świata chłopskiego absolutyzmu. Ponad gruntem, trawą, zbożami, domem, krowami, chlebem był drugi świat. Inny niż świat bajek. Niewidoczny jak świat z bajek, a jednak realny. Świat wczarowany w książki. Wtedy i szkoła okazała się oknem na ten inny świat.

7 II 1983

DOM

Dom oczywiście był osią świata, który się na nim wspierał i koło niego obracał. Każda strona świata odpowiadała jednej stronie domu, każda sprawa życiowa, podobnie jak każdy dzień, zaczynała i kończyła się w domu. Przed deszczem, burzą śniegiem, nocą i ciemnością, przed rozbójnikami, nocnicami, zymi duchami — bronił dom. Był równie wielki, trwały, spolegliwy jak rodzice. Był podstawowym składnikiem wieczności dzieciennego świata.

Z placu między domem i stodolą wchodziło się po czterech kamiennych schodkach do sieni dzielącej dom na dwie części. Po prawej stronie za drzwiami było miejsce na „kamień” długi, płaski, służący do maglowania prania. Potem były drzwi do „starykowej izby”, bo w niej kiedyś zamieszkałi rodzice ojca, kiedy oddali mu gospodarstwo, a sami przeszli „na wymowe”. Po lewej stronie drzwi prowadziły do pokoju rodziców, wielofunkcyjnego, będącego salonem, sypialnią, jadalnią dla gości. Dalej po prawej stronie były drzwi do piwnicy, a dalej drzwi do stajni dla koni. Konie zarekwirował najjaśniejszy cesarz na wojnę i po wojnie ojciec nie odkupił już koni, tak że potem, chyba już pod koniec lat dwudziestych, stajnię przebudował na izbę, wbudował do niej także piec kuchenny, a przed nią postawił łobudówkę, także z piecem kuchennym. Były to inwestycje spowodowane wynajmowaniem domu na lato letnikom. Ale wróćmy do sieni. Naprzeciwko drzwi do stajni sień skręcała w lewo i tam w zamknięciu były schody na strych i drzwi do kuchni. W sieni stały dwie szafy — jedna szafiarza zamykana na klucz, gdzie między innymi mama przechowywała głowy cukru i mały toporek do odrabiania kawałków białego cukru, oraz szafa z mąką, otrębami i róż-

wisała na futrynie drzwi prowadzących do pokoju obok. Przy tym świetle i ciepłe kuchni skupiało się życie rodziny. Dzieci odrabiali lekcje, mama wykonywała czas od łatania, szycia, „sztrykowania kopytek”, czasem zachodził sąsiad Kocjan ze skargami na teściów, lub przychodził krewni i znajomi ze sprawami gospodarskimi. Bo wtedy nie było urzędów załatwiających sprawy gospodarzy. Być gospodarzem znaczyło radzić sobie we wszystkim. Jeszcze dziś gdy słucham rolników domagających się paszy od państwa, czy innej pomocy, nie mogę się oprzeć poczuciu śmieśności takiego postępowania. W takich latach rolnik miał ziemię, inventarz, narzędzia, ręce i głowę a do pomocy najwyżej sąsiadów — resztę zdobywał sam. Ale zostawmy porównania, wróćmy ze świata nieistniejącego a więc nieporównywalnego.

Dom był nie tylko spokojem. Był organizacją życia, rytuną i porządkiem bytu. Istnienie człowieka było uporzędkowane według urządzenia domu. Każda czynność, każda rzecz miała tu swoje miejsce, dokonywała się w wyznaczonym czasie, spełniała dobrze określone funkcje. W tym domu było mało miejsca, gdyż krowy, świnie, kury, a także pole i ogród też zajmowały w nim swoje miejsce. Było to centrum obejścia, gruntu, a zatem także całego, liczącego się świata, zatem dom musiał być zorganizowany według potrzeb koniecznych tego świata. Doskonalsze gospodarstwo zależało od doskonałości domu. Dom musiał więc być doskonały. Dzieci musiały dorastać do jego doskonałości. Tak dom zapewniał nie tylko ciągłość pokoleń, ale także ich jakość.

Wiele rzeczy utkwilo mi w pamięci do dziś, ale symbolem tego życia pozostała wielka, ciężka kamień do maglowania bielizny — obojętny, niezmienny, twardy i funkcjonalny. Życie było po to, by wykonać swoje obowiązki. A dom dawał schronienie, warunki życia i nakazywał te obowiązki wykonać. Twaro i kamienne. 8 II 1983

UJEC WANTUŁA

Był mężem siostry mojego ojca. Mieszkał „na Gojach”, w małym drewnianym domku pod ogromną lipą, niedaleko maleńkiego strumienia, płynącego przez sad. W strumieniu były pstrągi — jak im tego zazdro-

wymarzonej Polski, musiał przeżyć gorycz jej odległości od wymarzonego ideału, zawierzył Piłsudskiemu w 1926 i przeżył gorzko Brześć i Berezę. Przeżył klęskę września i rozpacz okupacji, doczekał socjalizmu, który był marzeniem jego robotniczej młodoci, by spotkać rozczarowanie stalinizmu. Umarł w 1953 nie doczekawszy tego, o czym napisał w swojej książce. Zatrzymywana przez polityczne mechanizmy tego okresu ukazała się w rok po jego śmierci.

9 II 1983

KĄPIELORZE

Ci, co przyjeżdżali do Ustronia w lecie dzielili się na dwie kategorie zasadnicze: kąpielorze przyjeżdżali tutaj dla kąpeli borowinowych, których pokłady odkryto w Ustroniu dość dawno i zbudowano zakład leczący choroby reumatyczne. Natomiast świeżopowietrzocy szukali tu dobrego powietrza górskiego i pięknego krajobrazu. Jedni i drudzy nie byli ludźmi na serio i w pełnym tego słowa znaczeniu. Do człowieczeństwa brakowało im cechy zasadniczej — nic nie robili, a było oczywiste, że człowiek to jego robota. Jeszcze za nieboszczyka cesarza przyjeżdżali różni panowie i budowali sobie wille. Tak od ojca jeszcze dość długo przed pierwszą wojną światową pan Blanc z Wiednia kupił kawał brzeziny za wywozem i wybudował sobie willę zwaną „blankową”. Był to jakiś symbol i fragment obcego świata, pańskiego świata i bytowanie w lecie w willi uzasadniał fakt pochodzenia z Wiednia, stolicy cesarstwa, gdzie mogą istnieć takie jednostki niezwykle, prowadzące życie tak dziwne jak Blankowie w swojej willi. Dla naszej społeczności sąsiedzkiej na Zawodziu byli oni jedynymi przedstawicielami świata „panów”, bytującego w miastach dalekich, a więc świata niezbyt realnego i nie mającego żadnej wagi w codziennym życiu i jego naprawdę doniosłych sprawach.

Jednakże na początku lat 20., już w odrodzonej Polsce, w Ustroniu zaczęły się pojawiać większe ilości kąpielorzy i świeżopowietrzoków. Ponieważ nie było wtedy jeszcze pensjonatów więc wynajmowali pokoje u chłopów, a że nasz dom był położony w pięknym miejscu, więc rychło także i u nas zjawili się kąpielorze. My zaś na lato przenosiliśmy się ze spaniem na strych.

Różnili się znacznie od panów w rodzaju Blanków. Nie byli prawdziwymi panami, bo nie budowali will, mieszkali w pokojach w chałupach. Targowali się o ceny za pokoje, za mleko i masło. Mieli pretensje, gdy wywoziło się gnojówkę w pole, że śmierdzi, jakby ktoś widział gdzieś nie śmierdzącą gnojówkę. Trzeba było zachowywać się spokojnie bo spali długo rankami, jakby nie zdawali sobie sprawy z piękna wschodów słońca nad Równicą. Dziwili się naszym obyczajom, które przecież były prawdziwymi obyczajami prawdziwych ludzi, np. to że jedliśmy z jednej misy i po kilku latach, gdy siostry dorosły, zaczęliśmy także jadać z talerzy. Chodzili nad Wisłę, leżeli na piasku lub leżakach, czy też płasko ułożonych kamieniach i opalali się. Dla chłopów opalenizna nie była piękna i nasze kobiety zawsze nosiły szatki na głowie tak, by osłaniały twarz przed opaleniem, ale pod wpływem letników opalanie stało się także przyjętym obrzędem dla nas.

Dla mnie kąpielorze mieli jedną zaletę — przywozili książki i pozwalali mi czytać. Z nimi także pojawiały się pierwsze ilustrowane czasopisma i gazety warszawskie. Wiedeń został oddzielony od nas wieloma granicami. Przez kąpielorzy objawiła się nowa geografia polityczna: Warszawa jako nowa stolica. Największym i najbar dziej osłyszonym miastem polskim był Kraków, a jego prestiż wynikał stąd, że w Krakowie był też zamek królewski, podobnie jak Burg cesarski we Wiedniu. O Wawelu śpiewało się pieśni jeszcze za cesarza. O Warszawie prawie nikt nic nie słyszał.

Ustroń jednak stał się przede wszystkim letniskiem dla drobnego mieszczaństwa warszawskiego, dla urzędników, profesorów gimnazjalnych. Zjawiali się także i profesorowie gimnazjalni z Cieszyna, którzy niekiedy na furmankach przywozili wszystko co im było potrzebne do urządzenia się na lato w chłopskim domu. Płacili, więc stawiali wymagania. I tak powoli sienniki położone na deskach w łózkach zmieniły się na materace leżące na sprężynujących siatach. Zjawiły się nowe naczynia na mleko, śmietankę, twaróg i masło dla kąpielorzy. Często mama lub siostry gotowały dla nich i wtedy gotowały tak jak sobie życzyli. Niektóre panie letniczki miały zacięcie pedagogiczne i interesowały się nami, dziećmi i uczyły nas dziwnej warszawskiej polszczyzny. Wchodzili w nasze życie i zmieniali je stopniowo. Byli poważnym źródłem dochodu, z którym rodzice musieli się liczyć. Gospodarstwo powoli zaczęło zmieniać charakter, a przebudowa domu prowadzona przez ojca była także prowadzona z punktu widzenia zyskania dodatkowego pokoju do wynajęcia kąpielorzom.

Co roku było ich więcej, aż doszło do tego, że w lecie było ich znacznie więcej niż ustroniaków. Pamiętam dobrze, jak w jesienny wieczór, miejscowy żebrak-filozof-posługacz siedząc pod piecem nad miską, ofiarowaną mu przez mamę rozwodził się nad kąpielorzami mówiąc: „tych ludzi, tego plugastwa sie teraz tela naplągiol!”

3 III 1983

JAN SZCZEPAŃSKI